Magazyn
Historia

Mur berliński zaczął się sypać w Warszawie

Kiedy w 1988 roku Kazik dedykował podzielonemu Berlinowi swoją piosenkę „Arahję", w której „mój dom murem podzielony, podzielone murem schody"... nikt nie przypuszczał, że rok później tego muru już nie będzie. O obalaniu w czasie Jesieni Ludów muru, który przez 28 lat dzielił Berlin, Niemcy i Europę, pisze Agnieszka Świderska

W 1962 roku, czyli w rok po jego postawieniu, zabito na nim pierwszego Niemca, który próbował przedostać się do Berlina Zachodniego. Co roku ginęli następni. Kosztował życie co najmniej 238 osób, bo ci, którzy do nich strzelali, nie liczyli swoich ofiar. Nikt, kto wtedy strzelał po tamtej stronie żelaznej kurtyny, tego nie robił. Tak było w Berlinie, tak było w Pradze, Budapeszcie, Gdańsku i Szczecinie. Tak mogło być również w '81 w Warszawie, kiedy na szybką i zdecydowaną interwencję zbrojną w Polsce naciskał ówczesny przywódca NRD – Erich Honecker. Polacy nigdy mu tego nie zapomnieli, a on nie wybaczył im „Solidarności". To właśnie Honecker osiem lat później, kiedy w Polsce doszło do Okrągłego Stołu i pierwszych wolnych wyborów, oskarżył Jaruzelskiego o zdradę socjalizmu i kontrrewolucję. Swojego muru był pewny. Jeszcze w październiku '89 w czasie uroczystych obchodów 40-lecia NRD zapewniał z trybuny, że mur będzie stał jeszcze za 100 lat. Nie chciał słyszeć młodych Niemców, którzy w czasie defilady skandowali: „Gorbi, pomóż!". „Mieczysław Rakowski podszedł do mnie i pyta: Michaile Siergiejewiczu, rozumiecie, co oni krzyczą? Mówię: na tyle znam niemiecki, że rozumiem. – To już koniec – mówi Rakowski. – Tak, to już koniec – odpowiedziałem" – tak po latach w rozmowie z dziennikarzem „Polityki" wspominał tamte wydarzenia Michaił Gorbaczow.

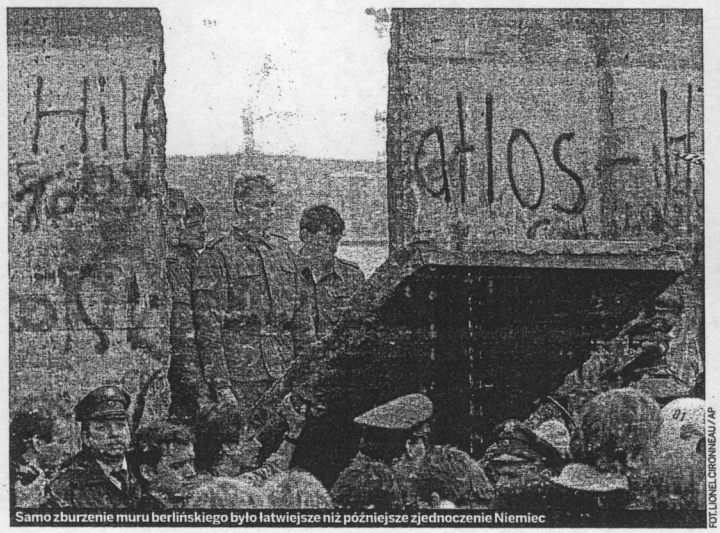

Samo zburzenie muru berlińskiego było łatwiejsze niż późniejsze zjednoczenie Niemiec

FOT. LIONEL CRONNEAU / AP

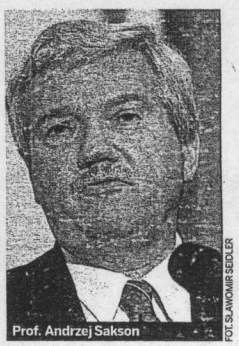
Prof. Andrzej Sakson

FOT. SŁAWOMIR SEDLER

Wyścig z historią

Na razie jednak był październik. W Poznaniu Andrzej Sakson, obecnie profesor i dyrektor Instytutu Zachodniego, wtedy jego pracownik naukowy w stopniu doktora, szykował się właśnie na wyjazd na konferencję do Berlina. Od roku był członkiem międzynarodowej sekcji Stowarzyszenia ds. badania Niemiec. Aby nadać konferencji odpowiednią rangę, niemieccy gospodarze na miejsce obrad wybrali Reichstag. Okna sali, w której w przeddzień upadku muru rozmawiano o „kwestii niemieckiej", wychodziły na przylegający do niego plac Paryski. Z lewej strony majaczyła groźna sylwetka wieży strażniczej.

– Każdy naocznie mógł się przekonać, że Niemcy są podzielone – mówi prof. Andrzej Sakson. – Nikt z obecnych wtedy na sali nie wierzył w szybki upadek muru. Historia nas prześcignęła.

Co ciekawe, do tej nieplanowanej lekcji historii lepiej od Niemców byli przygotowani Polacy. Już od dawna w kręgach opozycji toczyły się debaty wokół nieuniknionego zjednoczenia Niemiec.

– Doświadczeni przez rozbiory rozumieliśmy więcej – mówi prof. Sakson. – I jeżeli krótko po wojnie ten podział był jeszcze do przyjęcia jako kara dla Niemiec za wywołanie II wojny światowej, to już czterdzieści lat później był uważany za anomalię. Niemcy byli jednym narodem i mieli prawo żyć w jednym państwie. Pod tym względem opozycja w Polsce była mentalnie gotowa do zaakceptowania faktu, jakim miały być zjednoczone Niemcy.

Tymczasem sami Niemcy nie mieli odwagi tak daleko wybiegać w przyszłość. Ci zachodni, owszem coraz głośniej mówili o potrzebie zjednoczenia, ale szuflady z napisem „zjednoczenie" w tych najważniejszych biurkach w Bonn były puste. Rozwój wydarzeń zaskoczył nawet tę, która miała być ich barometrem, ówczesną minister ds. stosunków wewnątrzniemieckich, Dorothee Wilms. Była jednym z gospodarzy konferencji w Reichstagu.

– W przeddzień upadku muru przekonywała, że jego upadek jest nierealny, że może dopiero w następnym wieku, że może dopiero następne pokolenie... – wspomina prof. Sakson. – Tymczasem historia potrzebowała tylko kilku godzin, żeby się do niego dobrać.

Wyjątkowo twardy beton

Tamtą noc z 9 na 10 listopada profesor z żoną spędzili w zarezerwowanym dla uczestników konferencji pięciogwiazdkowym Grand Hotel Espalande niedaleko stacji ZOO. Nic nie zakłóciło ich snu. Równie spokojnie spało tej nocy wielu berlińczyków. Dopiero nad ranem zobaczyli w telewizji pierwsze migawki z muru.

– Przecierałem ze zdumienia oczy – opowiada Andrzej Sakson. – To wyglądało jak film science fiction. Tak trudno było uwierzyć, że dzieje się to naprawdę.

Ale miasto już się budziło i świętowało. Tylko wtedy można było zobaczyć w metrze Niemców upijających się już z samego rana piwem i szampanem. Euforia ogarniała wszystkich. Jak magnes przyciągała ukryta za murem osamotniona Brama Brandenburska. To właśnie zdjęcia z rozbijania tego najbardziej znienawidzonego odcinka muru obiegły cały świat. To właśnie na niego przy pomocy usłużnych ramion na dole i wyciągniętych rąk z góry dostał się Andrzej Sakson. Kto by wtedy biegł z drabiną przez miasto? A na górze były już kilofy i młotki. Starczyło ich dla każdego. Nie mogło zabraknąć ich dla Polaków, którzy najpierw obalili komunę u siebie, a teraz chcieli pomóc sąsiadom obalić jej najbardziej widoczny symbol.

– Mur był zrobiony z wyjątkowo twardego betonu – wspomina prof. Sakson. – Niełatwo było go skruszyć. Ten kawałek, który mi się udało, przywiozłem z sobą do Polski.

Z tego odcinka muru do Reichstagu miał tylko pięć minut. Tamtego dnia nikt nie trzymał się już programu konferencji. Wprawdzie jeden z prelegentów próbował odczytać swój referat, ale nikt go nie słuchał. Wszyscy chcieli mówić i mówili tylko o murze. Tylko Dorothee Wilms nie było już między nimi. Nie tylko dla niej mur runął za wcześnie. Wracający pośpiesznie z Warszawy kanclerz Helmut Kohl niemal wbiegł na manifestację wokół walącego się muru.

Berlin świętował kilka tygodni. Andrzej Sakson został w mieście jeszcze na kilka dni. Zatrzymali się z żoną u przyjaciół. Tam też każdy kąt wypełniała „murowa gorączka".

– Na naszych oczach rodziła się nowa historia Niemiec i całej Europy – mówi prof. Sakson. – Miałem szczęście być przy tych narodzinach. „Obyś żył w ciekawych czasach...". W takich właśnie żyłem.

Zniknął niemiecki upiór

Nikt nie miał wątpliwości, że upadek muru był początkiem końca dawnego porządku. Tyle że nowego jeszcze nie było.

– Sprawą dziś już zapomnianą jest toczący się w przeddzień tamtych wydarzeń spór między Polską a NRD o Zatokę Pomorską – mówi prof. Andrzej Sakson. – Na naszych wodach pojawiły się niemieckie kanonierki. Dochodziło do wielu nieprzyjemnych incydentów. Rzutem na taśmę, bo zaledwie na kilka miesięcy przed upadkiem muru, naprawiono błąd z Poczdamu i wytyczono wreszcie granice na tych wodach. Honecker zgodził się na to nie bez nacisków Moskwy. Ze zjednoczonymi już Niemcami ten konflikt mógł być znacznie poważniejszy, a jego finał wielką niewiadomą. Na szczęście, udało się tego uniknąć.

Nikt nie wierzył wtedy, że mur upadnie tak szybko

O ile samo obalenie muru zostało przyjęte w Londynie i Paryżu oklaskami, to perspektywa zjednoczenia dwóch państw niemieckich nie była tam już mile widziana. „To może być gorsze od hitleryzmu" – ostrzegał ówczesny prezydent Francji Francois Mitterand. W podobnym tonie wypowiadała się premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, która dwa miesiące przed wypadkami berlińskimi przekonywała Gorbaczowa, że ZSRR powinien zrobić wszystko, żeby do nich nie dopuścić. Zachód nie chciał żadnych zmian, ale Wschód się już zmieniał, a rozpędzonej historii nie dało się już zatrzymać. Dla Polaków otwierała się z kolei zupełnie nowa perspektywa – polsko-niemiecka wspólnota interesów, o których po raz pierwszy publicznie w lutym '90 na VI Forum Niemiecko-Polskim w Poznaniu powiedział minister spraw zagranicznych, notabene poznaniak Krzysztof Skubiszewski. Podstawą nowych stosunków było jednak uznanie zachodniej granicy polskiej przez RFN. Do podpisania tego traktatu doszło w rok po zburzeniu muru, kiedy od miesiąca na mapie Europy były już zjednoczone Niemcy.

– Z obecnej perspektywy był to prawdziwy przewrót kopernikański – twierdzi prof. Andrzej Sakson. – Polska znalazła w Niemczech sojusznika, którego nigdy w nim nie miała, a który poparł jej starania o wejście do struktur NATO i Unii Europejskiej. Zniknął niemiecki upiór, który tak długo straszył nas w historii. Od kilkuset lat nie byliśmy w lepszej sytuacji geopolitycznej niż ta, która jest teraz.

Jesień Ludów zaczęła się wiosną

9 listopada odbędzie się w Berlinie wielkie święto. Mur runie drugi raz, tyle że teraz będzie to tylko symboliczny mur. To właśnie Polak, były przywódca „Solidarności", Lech Wałęsa, przewróci pierwszą z prawie tysiąca kostek domina ustawionych wzdłuż fragmentu dawnej linii muru berlińskiego od budynku Reichstagu do placu Poczdamskiego.

– Rola Polaków w zburzeniu berlińskiego muru jest jednak niedoceniana – mówi prof. Andrzej Sakson. – On się zaczął sypać właśnie w Warszawie. To demokratyczne przemiany, do których doszło w naszym kraju, spełniły rolę katalizatora dla przełomu w NRD. Zarazilismy ich wolnością. Pokazaliśmy, że można ją zdobyć i to w dodatku bez rozlewu krwi.

Wystarczy porównać daty: polska rewolucja już się kończyła, gdy zaczęła się niemiecka. Dlaczego jednak to berliński mur stał się symbolem obalenia komunizmu, a nie Okrągły Stół czy czerwcowe wybory? Z pewnością był bardziej... medialny. Zdjęcia z rozbijania muru lepiej sprzedawały się na świecie niż mniej widowiskowe zdjęcia z wyborów w Polsce.

– Powinniśmy przypominać światu, że Jesień Ludów zaczęła się już wiosną – mówi prof. Andrzej Sakson. – Mamy do tego nie tylko prawo, ale również obowiązek.

Tyle że polscy politycy swoją szansę, którą była 20. rocznica wolnych wyborów, zmarnowali. Czerwcowymi obchodami nie byli w stanie zainteresować nawet Polaków, a co dopiero cały świat.